

Poprzedniego wieczoru zamyśliłem wyjazd do Dawida. Przygotowałem się do drogi, z zachowaniem wszelkiej tajemnicy. Przed północą wyszedłem z domu, wysławszy uprzednio człowieka z osiodłanym koniem ku bramie Świętego Idziego. Zastałem go w miejscu umówionym. Drżał z zimna i lęku. Noc była chłodna, wiał porywisty wiatr, roztrącając liście, spadłe z drzew. Z największym zdumieniem dostrzegłem, że brama była szeroko otwarta, a most nie odwiedziony. Strażnicy grali w kości nie opodal. Zajęci grą, zdawali się nie zwracać najmniejszej uwagi na przejście. Wietrzyłem pułapkę. Mijał czas, pełen osobliwej grozy. Koń niecierpliwie uderzał nogą w ziemię. Wszedł księżyc, ogromny i biały, jak kula śniegowa. Nagle usłyszałem kroki, a po chwili dojrzałem mnicha od cystersów, który jawnie zbliżał się do bramy miejskiej. Jeden ze strażników uniósł głowę, spojrzał bez ciekawości na przechodnia i wrócił do gry. Mnich minął bramę, wlaźł na most. Jego kostur uderzał głucho w ciemności. Odszedł z miasta, przez nikogo nie zatrzymywany. Oczekałem kilka chwil, a potem wróciłem do domu, polecając odprowadzić wierzchowca do stajen. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.